

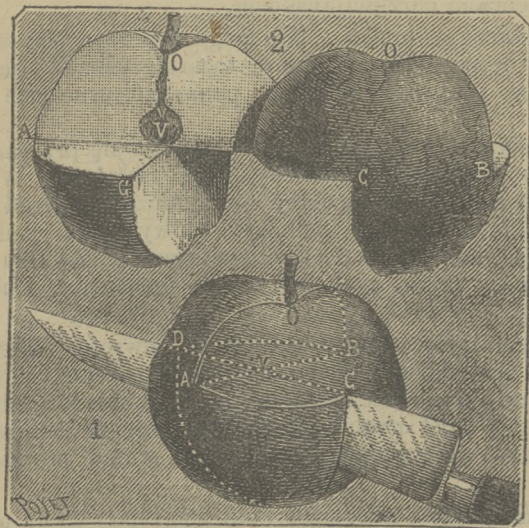


## TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tój ceny półroczna i kwartalna.

Biurow Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



### Niezwykły sposób krajania jabłek.

Wéźmy jabłko i rozetnijmy je, jak wskazuje rysunek na fig 1, trzymając się punktów A O B, przechodząc przez punkt O, gdzie jest korzonek, zatrzymując się na punkcie V, gdzie się mieszczą pestki. Drugie cięcie podobne, prostopadłe do pierwszego, wykonywa się w taki sposób, aby nóż stanął na linii C V D. Następnie nóż zwraca się w położeniu poziomem po jednej stronie osi, którą tworzy przedłużenie korzonka, jak to wskazują litery C V A fig. 2. Toż samo się wykonywa i z drugiej strony. Jeżeli to wszystko wy-

konamy dokładnie, otrzymamy postać, przedstawioną na fig. 2-gięj. Sądzymy, że rysunek pomocniejszy tu będzie od opisu.

### Najnowsza powieść Deotymy.

(Dalszy ciąg).

Obie wyglądały na „duchy”, co tylko dla uwidomienia się ludziom, raczą jeszcze zachowywać leciuchną powłokę, ale już, już są na odciole do tych światów, gdzie Bóg tworzy postacie nie z gliny lecz ze światła.

Za przykładem Jana, wszyscy mężowie zgromadzeni ogromnem kołem, zgięli mimowolnie kolana, i twardemi rękoma bijąc się w piersi, wołali:

— Święte niewiasty, wstawcie się do Pana za nami grzesznymi.

Ale niewiasty wzdrygnęły się na te oznaki cześci.

— Wstańcie. — mówiły. — A nie bluźnijcie. My grzeszne jak i wszyscy. Nie my święte, jeno świętą jest ona koronna mniszka, na której uścisk Bóg położył dar uzdrawiania, rady i prorocstwa.

Tu obie kłękły w pośrodku mężowego koła, i zaczęły mówić Litanie do Świętych Pańskich. A wymieniwszy, Święte: Annę i Magdalenę, i wszelkie następne, znagła umilkły, poczem jednocześnie i prawie bezwiednie zawołały:

— Święta Kingo, módl się za nami!

Jan i wszyscy mężowie powtórzyli:

— Święta Kingo, módl się za nami!

A wezwanie to, wówczas pierwszy raz wyrzeczone, miało już odtąd powtarzać się bez końca, tak w niebie jako i na ziemi.

W powróconym im zamku Jan i Elżbieta przyjmowali następnie swych obrońców przez dni kilka, kasztelan bowiem nie chciał się oddać ze swą załogą, dopóki nie nabierze pewności, że nic nie grozi gospodarzom ze strony uwolnionego Zyndrama. Doczekali się też chwili, w której róża jerychońska włożona w wodę osypała się listkami, a na samym jej wierzchu wybujały dwa kwiatki, bieluteńkie, jasne i przejrzyste, istny obraz naszych dwóch branek.

Na ten widok, ludzie żegnali się nabożnie, a sędziowie dosiadając wierzchowców, mówili:

— No, już teraz możemy sumienie mieć spokojne, kiedy dla pobłogosławienia naszego wyroku, nawet martwa gałązka zakwitła jak Różeczka Arona.

Cóż dalej stało się ze „Strasznym stryjkiem?”

Szpiegowie kasztelańscy donieśli że pojechał do jednego ze swoich zamków pod Lublinem, tam się zamknął i oko ludzkie go nie widzi.

Wszelkie wieści przez jakiś czas ucichły.

Ale po kilku miesiącach, przyleciał do Żegnańca człowiek na koniu spienionym, sam zdyszany. Przynosił od kasztelana żądanie, ażeby Jan i jego matka wybrali się jak najprędzej do Sandomierza, do kościoła Ojców Dominikanów, gdzie Zyndram chce odprawić obrzęd uroczystych przeprosin, czyli tak zwaną *Pokorę*.

— A śpieszcie się — nalegał — bo pokutnik lada dzień gotów zamrzeć. Już bardzo chory przyjechał do klasztoru Ojców Dominikanów. Mądrzy księża potrafiłi w nim obudzić wyrzuty sumienia, ale też jak raz obudzili, tak już i nie mogli mu dać rady, aż musieli mu nakazać „Pokorę”. Teraz nieszczęsny rwie się do niej dniem i nocą, bo już tylko w onej „Pokorze” widzi jakąś nadzieję ratunku dla duszy.

Wezwani, oboje wybrali się co żywo. Pojechała i Ludmiła, nigdy już nie rozdzielająca się z Elżbietą.

Szybko stanęli pod Sandomierzem.

Tam Zyndram obyczajem owych wieków chcąc zmasać swe winy, przed kościołem, wobec zgromadzonego ludu i duchowieństwa oraz Elżbiety, Jana i Ludmiły wyznał swe zbrodnie we wzruszeniu wielkiem, a otrzymawszy przebaczenie tych, których pokrzywdził, równie jak rozgrzeszenie kapłańskie, w kilka dni potem zakończył życie.

Po śmierci Zyndrama, Dominikanie ogłosili jako wszystkie swoje majątkości zapisał dla synowca, z dodatkiem nieśmiałej prośby, ażeby „jeśli łaska”, pewną liczbę nabożeństw i jałmużn rozdawano co rok za jego duszę.

Rodzina wyprawiła mu bardzo uszczywliwy pogrzeb, na którym tłoczyły się z cichem szlochaniem te same tłumy ludu, co przed kilkoma dniami słuchały jego przedśmiertnej spowiedzi.

I nie na samych łzach się skończyło. W niejednej duszy, ten wypadek zostawił głębokie i zbawienne wrażenie, wielu twardych panów zlągnęło dla służby i chłopstwa.

Bo też cudownie piękną to był ten obrządek Pokory, co bez przymusu i bez upodlenia, bez żadnych kar ani więzień, mazał winy, przejednywał serca, budował ludzi i rozrzewniał aniołów.

Czyby też kto z czytelników odgadł, na jaki użytek niewiasty obróciły pierwsze odzyskane dostatki?

Oto posłały do Krakowa, i wykupiły owych kilkunastu jeńców. Ich dotychczasowi posiadacze, dowiedziawszy się kto targu dobija, chętnie i bez przecenienia przystali na okup.

Tatarzy, znalazłszy się w Żegnańcu, zostali ugoszczeni, od stóp do głów odziani, a wieczór gdy zasiedli do wieczerzy, niewiasty zaczęły ich się szeroko rozpytywać o wszystko co zaszło przez lat wiele w Mongolii, zwłaszcza też o Ajdara.

Żałobne były o tym ostatnim wieści. Ajdar umarł we trzy lata po swoim rozstaniu z Ludmiłą. Już od czasu jak ją zostawił na pustyni, zapadł w smutek z którego nikt go nie mógł wyrwać. Co go właściwie zabiło, tego i najmądrzy czarownik nie byłby zdołał odgadnąć. Wedle twierdzenia Tołgana, Behadyr nie chorował na nic innego, tylko na

ten bezprzykładny, nieprzemierzony smutek. Chciał się zeń otrząsnąć, próbował wojny, łowów, nic nie pomagało. Nawet kumys mu zobojętniał. W ostatnich dniach, kiedy już leżał na posłaniu z gronostajów, (które najlepiej lubił, bo mu przypominały białą komnatę „gołąbki”), nie pozwolił aby do jurty wpuszczono Szamanów, tylko ciągle całował krzyżyk dany mu niegdyś przez Rubruka, i umarł powtarzając: „Ja chcę iść do Boga Ludmiły, aby ją tam znaleźć”.

Na te słowa Ludmiła rozplakała się rzewnie, zaraz tegoż dnia przywdziała wdowie ubranie, i odtąd ile razy mówiła o Ajdarze, a mówiła często, coraz częściej, zawsze wtedy miała dwie ciche łzy w oczach.

Tatarzy opowiadali jeszcze potem o mistrzu Wilhelmie, który umarł zawsze w łaskach chaana i o innych towarzyszach niedoli branek, którzy lubo los mieli znośny, nie powrócili do własnych krajów.

— Ileż myśmy szczęśliwsze! Myśmy powróciły — szeptały branki.

Tatarzy także się zadumali. O czym? Oni znów dumali o szeroko-wichrzystym stepie, o jurcie czarnej ale swojej, o wielkich Terchanach i Chatunach, co chodzą w turkusowych pasach i koralowych dyadematach. Czy oni jeszcze kiedy zobaczą to wszystko? Wprawdzie teraz ugoszczono ich i odziano, aleć są jeńcami? Któż wie co będzie dalej? Wprawdzie pan tego zamku, przypuścił ich do swojego stołu, aleć to zabójca Kałgi! To zwycięzca krakowski!

Zwolna, pospuszczali oczy, i zwykła ponurość wróciła na ich twarze.

Nazajutrz po tej różnowrażliwej wieczerzy, rano, niewiasty zwołały jeńców u progu zamkowej kaplicy. Przez jej drzwi rozwarłe, widać było w głębi nad ołtarzem, wielki czarny Krucyfiks ze srebrnym Panem Jezusem. Niewiasty, wskazując go ręką rzekły:

— Nasz Bóg z wysokości Krzyża nakazał, abyśmy nieprzyjaciółom przebaczyli. My więc posłuszne rozkazowi, dajemy wam wolność. Wróćcie do ojczyzny każdemu najmiłszej, a gdy powrócicie, namawiajcie braci, aby tak samo czynili z jeńcami chrześcijańskimi.

Słuchacze osłupieli. Nie mogli uwierzyć tym słowom, choć były wypowiedziane dobrą tatarszczyzną. Niewiasty musiały po raz wtóry i trzeci ponawiać uroczyste zapewnienie.

Wtedy, ze wszystkich piersi wydarł się przerażający, iście Azyacki okrzyk, straszliwy swoją radością. Wszyscy runęli na ziemię, i dziewięćkroć uderzyli czołem przed swymi wybawicielkami. A gdy podnieśli głowy, jedni śmiali się jak szaleńcy, inni łzy grube z oczów ocierali. Zwykła ponurość tatarska pękła pod wybuchem uniesienia, i ukazała ludzką głębię ich duszy.

Oswobodzeni jeńcy rwali się do powrotu. Niewiasty chcąc im go ułatwić, obdarzyły każdego suto, a nawet, w obawie aby po drodze nie ujęto ich jako zbiegów, dały im rodzaj „paizy”, list otwarty, który w obrębie chrześcijańskich krajów miał zaświadczyć, że im jest wolno powracać do Mongolii.

Skończywszy z obcymi, branki pomyślały co najprędzej o swoich; a najprzód o chłopach Żegnanieckich, których los pod Zyndramem tak wiele osmutniał. Rozdawano biedakom ziarno do zasiewu, krowy i narzędzia rolne; wznosiły się schludne chaty; pomyślność wszędzie zakwitła.

Potem przysłała kolej na zamek. Postarano się aby go w najdrobniejszych szczegółach przywrócić do jego dawniej postaci.

Jedną tylko rzecz Elżbieta odmieniła, to nazwę.

Jeżeli pamiętacie, ta nazwa już bardzo dawno, jeszcze przed wzięciem do niewoli, zdawała jej się złowrobną. Jeszcze Sulisław obiecywał, że ją wedle życzenia małżonki odmieni.

Przezowano więc Żegnaniec „Witańcem”.

(d. c. n.)

## GOŁĄBKA.

O gołąbko moja biała,  
 Wykarmiona łzawą rosą,  
 Piosnko gdzieś mi uleciała,  
 Gdzie cię lotne skrzydła niosą?

Jam w poranne ciebie lata,  
 Uganiała stopą drżącą,  
 Jak ta pszczoła co przelata,  
 Ponad łąką woniejącą.

I w spienionym wód potoku,  
 W drżącym świetle gwiazdki bladėj,  
 Wszędzie lśniły memu oku,  
 Promieniste twoje ślady.

I w tój zorzy co na niebie,  
 Wróży światu dzionek jasny,  
 Jam widziała piosnko ciebie,  
 Bom cię czuła w duszy własnej.

Wiosna zbiegła mi wesola,  
 W polu złoty kłos dojrzewa,  
 Przepióreczka drobna woła,  
 „Dalej żenicy czas do żniwa!”

I ja brzęczę z sierpem w dłoni,  
 W pracowników stawam rzędzie,  
 A me oko ślad twój goni,  
 Widzę ciebie, widzę wszędzie.

I w tem słońku co nad głową,  
 Letnim żarem wciąż migocze,  
 Tak nadobnie, tak różowo,  
 Twoje piórka lśnią uroczce.

A choć obłok przemknie górą,  
 I słoneczne skryje lica,  
 Gdy się chmura zetrze z chmurą,  
 I zaświeci błyskawica:

I grom z nieba spadnie jasny,  
 Starą gruszę w proch zagrzebie,  
 W huku gromu słyszę ciebie,  
 Bo cię czuję w duszy własnej.

Lecz jesienne ciągną słoty,  
 Pierzchło ptastwo w cudze kraje,  
 Gaśnie słońca promyk złoty,  
 Trawkom rosy już nie staje.

I po listku listek spada,  
 Z sturamiennych dębów skroni,  
 Mgła tumanem tylko bładą,  
 Jakby w całun ziemię słoni.

O i w serce wnika trwoga,  
 Krew ścinają chłodne dreszcze,  
 Ty gołąbko moja droga,  
 Piosnko, znajdeż ciebie jeszcze?

Cicho, cicho, coś szeleści,  
 Czy wiatr z liśćmi igra w lesie?  
 Czy stróż anioł z nieba wieści,  
 Na pociechę ludziom niesie?

Oto ona spromieniona,  
 Śnieżnym cała blaskiem pała,  
 To gołąbka moja biała,  
 Ku mnie bieży z niebios łona.

Głos jój srebrny z dala słyszę,  
 Taki wdzięczny jak przed laty,  
 Kiedy wietrzyk w letnią ciszę,  
 Snem kołysał w polu kwiaty.

„W szumie fali, w woni kwiatu,  
 W purpurowym brzasku zorzy,  
 Ja porankiem z woli Bożej,  
 Pozdrowienie głoszę światu.

A gdy letnie tchną upały,  
 Ja z błękitu czystą rosę,  
 Uznojonym, dzionek cały,  
 Na ochłodę, żeńcom niosę.

Lecz odblasków mych na ziemi,  
 Ledwie cząstka świeci mała,  
 Za to barwy tęczowemi,  
 W modrem niebie płonę cała.

Kto mnie kocha, kto mnie goni,  
 Komu głos mój mile dźwięczy,  
 Niech wypuści z drżącėj dłoni,  
 Sennych ułud splot pajęczy.

To, co z ziemskiej wziął puścizny,  
 W łonie ziemi niech zagrzebie,  
 Trwogę, smutek, te dwie blizny  
 Niech otrząśnie, jak proch z siebie:

Wtedy mimo mgły i słoty,  
 Przez jesienne chmury płowe,  
 Ja osnuję w rąbek złoty,  
 Ulubieńców moich głowę.”

I umilkły drżące tony,  
 W koło głucho, ale w ciszy,  
 Duch mój cały spromieniony,  
 Tajemnicze dźwięki słyszy.

Spojrzę w górę: jakby strzała  
 Skrzydełkami lekko dzwoni,  
 I gołąbka moja biała,  
 Cicho zbiegła do mój dłoni.

*Seweryna Duchńska.*

## Kościół w Tomsku.

Tomsk otoczony wałem i okopami, leżący na prawym brzegu rzeki Tomy, miasto gubernialne w Syberyi Zachodniej, przy głównej drodze z Irkucka do Kiachty, posiada piękny kościół katolicki, wzniesiony na tak zwanėj Woskresieńskiėj górze, którego dajemy dziś rysunek.

Tomsk ma przeszło 26,000 mieszkańców; liczba ich zdwaja się nieledwie pod zimę a zmniejsza na lato z powodu że znaczna część ich się rozjeżdża, gdyż w Tomsku są rozmaite fabryki, zakłady przemysłowe, gimnazya i pensyonaty.

W północnej części gubernii tomskiej, niezmiernie rozległej, klimat jest zimny, w średnich okolicach dość ciepły, ciężkie upały i susze panują tam w t. z. stepie Barabińskim, W Czerwcu i Lipcu upały dochodzą do 35 st. R. w cieniu. Wiosna zaczyna się w kwietniu, zima przybywa wraz z wrześniem.

## List z wystawy paryzkiej.

Zdaje mi się, że już coś wspomniałem wam, kochani koledzy, o galeryi machin, która sama przez się jako budynek, już jest niepospolitym okazem wystawowym, otóż dzisiaj dopiero przez kilka godzin rozpatrywałem się wewnątrz tego budynku, oglądając maszyny i pospieszam opowiedzieć wam o tem cokolwiek, o ile potrafię. Już to przedewszystkiem przyznać się wam muszę do pewnego szczególniejszego wpływu, jaki wywiera na mnie wystawa i to coraz dotkliwiej: jest to coś nakształt przygnębienia... Wuj zaręcza że jest to niezwyklejsze znudzenie i nic więcéj; może i tak, ale mnie co innego jeszcze na myśl przychodzi. Oto, trzeba wam wiedzieć że moja siostra Gołąbka, ma zwyczaj czasem przezywać mię zarozumiałym, niesłusznie oczywiście; a jednakże wyznaje, że schowawszy patent do kieszeni, zacząłem jakoś

trochę wyżej głowę nosić, zdawało mi się istotnie że nie na próżno przecież człowiek przepracował lat kilka, że coś się umie. Z takim usposobieniem przyjechałem do Paryża i poszedłem na wystawę... wróciłem już z tem przygnębieniem, które z każdym dniem bardziej mię, powiedziałbym: demoralizuje nieledwie. Jak, po otrzymaniu patentu zdawało mi się żem urosł, tak teraz, bez przenośni mam uczucie jakbym zmalał, i za każdym odwiedzeniem wystawy maleję bardziej. Czyliżbym istotnie był zarozumiałym, a teraz, wobec tego zbiorowiska dowodów ogromu ludzkiej wiedzy, uczuwam się upokorzonym aż do zniechęcenia?... Nie jestem tego pewny; ale w każdym razie, jeżeli wystawę powszechną będziemy uważać jako egzamin, zdawany przez naukę przed sędzią zwanym „Zdrowy rozum” to przykre dla człowieka jest przeświadczenie, że po latach pracy nie posiadał jeszcze w zupełności, ani pierwszej nawet głoski abecadła, które ma być mu kluczem do tej nauki. Słowo daję, że takiego doznaję właśnie uczucia a dzisiaj opanowało mię ono bardziej niż kiedykolwiek. Stałem np. wśród maszyn i przyrządów za pomocą których, wobec publiczności, wyrabiają natychmiastowo szpilki, guziki, medale, pióra, koperty i tysiące drobnostek wykwińnych, tak zwanych galanteryjnych; patrzący rozkupują zaraz to, na czego wyrób patrzyli: zdawałoby się że człowiek poważny, spojrzawszy na te drobnostki przejść musi obojętnie, a jednak wiercie mi, stanawszy *zagapiłem* się po prostu.

Za błogosławionych dziecinnych czasów, słuchaliśmy nieraz bajek o wróżkach i czarownikach, wytwarzających skinieniem dziwy przeróżne, ależ ja na to nieledwie patrzyłem dziś właśnie. Aż naciśnięty i potracony przez innych ciekawych oprzytomniałem i odszedłem coprędzej, bo doprawdy można było pomyśleć, że zachwyciły mię tak spinki i cacka, gdy ja podziwiałem potęgę rozumu ludzkiego, jakkolwiek zastosowaną do drobiazgowości.

Belgijscy kolejarze urządzili tu sobie niby cały warsztat: przyrządy, narzędzia, dalej modele, sygnały, a na szynach, całe gotowe już liczne wagony. Dalej widzę przedstawioną w modelach całą historią maszyny parowej, to jest: cały obraz rozwoju ludzkiej inteligencji w kierunku zużytkowania potężnej siły pary... inteligencji i nauki wspieranej doświadczeniem, częstokroć smutnem.

Co do tego ostatniego, znowu wymowna ilustracja, po nad którą należałoby wypisać ognistemi głoskami: „Skutki nieostrożności” są to szczytki przeróżne, odłamy straszliwe, przepiękne kawały metalu rozprysnięte, lub rozerwane jak wąż szklaneczka lub kawałek papieru, a wszystko to pochodzi z wybuchów kotłów parowych, i daje patrzącym dotykalne nieledwie a przerażające wyobrażenie o potęgę tej siły straszliwej, którą odkrył rozum ludzki i wziął sobie za zadanie ujarzmić.

Długo wypatrywałem oczy następnie, na prasy hydrauliczne, motory gazowe, a wtem spostrzegam rzecz, którą nietylko każdy z nas, ale ręczę że i wszystkie panienki, które uczynią zaszczyt autorowi czytaniem niniejszego listu, pragnęłyby pewno posiadać... Ciekawi jesteście co to być może takiego w dziale maszyn? A więc jest to cudownie piękny malefki pałacyk, pawilonik gotycki z białej blachy: próżno opisywać jakie to śliczne cacko, ale z pewnością nie ma człowieka z jakim takim poczuciem piękna, któryby nie zapragnął rozgospodarować się w takim domeczku wykwińnym, umieściwszy go w jakim parku i otoczywszy ogródkiem kwiatowym.

Teraz znalazłem się wśród przyrządów do ujarzmienia i zużytkowania innej siły, bardziej jeszcze tajemniczej i potężniejszej niż para: to elektryczność. Patrząc na ciekawe acz,

wyznaje ze skrucą nie zupełnie dla mnie zrozumiałe, przyrządy Trouvégo do oświetlania głębin morskich, stało mi nagle w oczach „20,000 mil podróży podmorskiej”, które wszyscy w swoim czasie czytaliśmy z zachwytem... a oto marzenie uczonego autora spełnia się; kto wie, niezadługo wybiera się będziemy może, na oglądanie głębin oceanu tak jak dzisiaj do muzeum.

Tymczasem oderwały mię od morskich cudów w wyobraźni błyszczących, windy elektryczne Guyenet'a i magneto-

spuszczoną głową odszedłem od przyrządów elektrycznych. A oto posągi z węgla patrzą na mnie czarnemi oczyma, koło nich modele kopalni i przecięć geologicznych: jest tam również wystawione przez kopalnię węgla Morambert i inne mnóstwo modeli maszyn, szybów, mieszkań robotniczych, ale ja oczu od tych przecięć geologicznych oderwać nie mogłem, to zupełnie jakby roztrwarta księga zatytułowana „skorupa ziemska”.

Model szybu w kopalni towarzystwa Loary, szybu ma-

ślicznego papieru, który dopiero później przecina się na zwykłe arkusze. Poczekawszy okrągłe pięć minut przy innej małej maszynie, kupiłem sobie setkę biletów wizytowych bardzo ozdobnych, które mi ona przez *ten czas* na rozkaz wydrukowała.

Zabawna jest całkowita ale malutka fabryka korków, zawzięcie pracująca. O maszynach do szycia, do haftowania, o manekinach, o przyrządach do wytwarzania szrubowanego obuwia już i nie mówię nawet, takie tego niezliczone mnóstwo i różnorodność.

Nie wiem czemu, może dla tego, że Verne tak dziwnie jasno i zrozumiale pisze, ale daleko większą mam chęć, oglądać na własne oczy cuda na dnie oceanu istniejące, niż bratać się z chmurami za pomocą maszyn pana Arsène Olivier, znajdujących się na wystawie w szafie oszklonej. Oczywiście są to tylko małe modele, ale sam przyrząd ma stanowczo rozstrzygnąć kwestyę odwieczną, latania po powietrzu dowolnie. Przecież to Ikar tego jeszcze próbował i nie udało mu się fatalnie. Pływam nieźle i może z tej racji, większe w tym względzie mam zaufanie do wody niż do powietrza.

A teraz posłuchajcie o rzeczy, która mię na paryskiej wystawie nie przygnębiając zresztą swą wielkością, mocno jednakże zdziwiła. Oto, w bieżącym już roku odwiedzając po raz ostatni Kochaną panią, jakkolwiek ani mi przez myśl nie przeszło aby to ostatni raz być miało, widziałem koło niej na stole leżące, kilka listów przygotowanych do druku, co znaczy, pokreślonych troszeczkę.

Charakter pisma zdawał mi się męzki, ośmieliłem się zapytać, dowiedziałem się że są to listy młodego człowieka w moim wieku, pisane z krańców świata do siostry. Oczywiście zaciekawiony poprosiłem o pozwolenie przejrzenia i nie doznałem w tem trudności. Przeglądając na miejscu z pospiechem, znalazłem tam opis pewnej zabawki angielskich dzieci w Indjach, zabawki w rodzaju łamigłówki, której treścią i przedmiotem był globus ziemski w miniaturze, w pewien niezmiernie zajmujący sposób urządzonej. Jakież było zatem zdziwienie moje, dzisiaj na wystawie, gdy tuż obok wieży Eiffła ujrzałem globus ziemski roboty pp. Villarda i Cotarda, który pomimo swęj olbrzymości, żywo przypominał mi ową angielską zabawkę, z tą różnicą, że tamta jest miniaturowa i zastosowana do zabawy dzieci jedynie i to do rzeczywiście pożytecznej zabawy, jak mi się zdaje.

Globus ziemski, o którym pobeźnie na Kochanej pani czytałem, dziś widziałem na wystawie, lecz ten przechodzi rozmiarami wszystko cokolwiek dotąd w tym rodzaju zrobiono i daje możliwie dokładne wyobrażenie o istotnej powierzchni kuli ziemskiej, której, jako kuli, żaden atlas, żadna mapa jak wiadomo nie może dać jako płaszczyna, odpowiedniego pojęcia. Globus tutejszy mieści się w ogromnym gmachu z kopułą, z rusztowania metalowego i szyb szklanych, ściany są także szklane, w około zaś wznoszą się schody kilkopiętrowe przezrocyste, które nie tamując światła, pozwalają oglądać globus ze wszech stron. W podziemiach znajduje się mechanizm, wprawiający całą tę olbrzymią kulę ziemską, w obrót właściwy. Ponieważ wszystkie wymiary i sama chyżość ruchu jest zastosowaną do rzeczywistości i odpowiednią we właściwej rozumie się skali, zatem, całe to cudo olbrzymie ma niezaprzeczoną, ogromną wartość naukową, a prócz tego będzie niejako pomnikiem zbiorowej nauki geograficznej bieżących czasów.

Należy wspomnieć że pracujący około tego globusa musieli dwa razy na nowo odrabiać Afrykę, z powodu zmian jakie poczyniły na jej powierzchni najnowsze odkrycia. Daje to niejakie pojęcie o szybkości postępu nauk w dzisiejszych czasach,



Kościół w Tamsku.

elektryczne maszyny Meritens'a, te same o czem możecie czytać, o które Amerykanie poprosili Francuzów i rozświetlają dziś niemi latarnie olbrzymie na swoich wybrzeżach; przyznać należy, że piękny to tryumf dla Francuzów, ale wieluż to ja tam rzeczy wytłómaczyć sobie nie umiem!... A przecież elektryczność zaciekała mię zawsze i zaciekała niezmiernie; niby tajemnicza książka, z której ledwo ci się uda wyczytać kilka kartek, a tu mama-przyroda wzbrania ci zgłębiać ją dalej, kładzie książkę do szafy mówiąc „później będziesz ją czytać kochanku, teraz nie zrozumiałbyś jeszcze, i tyłkoby ci się zwracała napróżno głowina”. Ze

jącego 530 metrów głębokości, także chcielibyście pewno wiedzieć wraz ze mną... nie każdy może zajrzeć do kopalni a przecież nie jedną zajmującą powieść na tem tle się przeczytało. Jedna kopalnia żelaza wystawiła tu wieżę Eiffła w miniaturze kilkumetrowej. A teraz wy wszyscy, którzy zaczerpniecie papier atramentem, gdybyście też mogli patrzeć jak ja dziś patrzyłem na robotę tego papieru: w ogromnym naczyniu bieli się coś podobnego do białej papki z mąki, a olbrzymie przyrządy papierni Darblay ciągną z tej papki i wytwarzają, w oczach mnóstwa zdumionej publiki tak zwany „papier bez końca” to jest ciągle i nieskończone zwoje

Och... oczy zamykają mi się do snu, żegnajcie mi więc koleżanki i koledzy z Wieczorów... panienom zawsze pierwszeństwo, bo przecież mam siostrę... A może do widzenia?

*Julek.*

## Bajeczki Mickiewicza.

### III.

.... Chodziłam wówczas na parafialne wykłady katechizmu, z których przed ojcem często zdawałam sprawę. Zacytowany tam przez księdza fakt jeden z żywota ś-tój Elżbiety, królowej portugalskiej, przypomniał ojcu dziwny obraz, który oglądał przed laty w jakiejś kapliczce w Szwajcaryi. Stare to malowidło wystawiało średniowieczną damę na koniu, a raczej cień kobiecy, unoszący się w powietrzu nad opróżnionem już siodłem. Jakby zwalczony tem zjawiskiem, szatan czarny i rogaty tuż przed koniem zapadał się w ziemię wśród buchających z jój głębi płomieni. Nieco dalej stojący rycerz rozpaczliwym ruchem podnosił ręce w górę; w około snuły się postacie ludzi zbrojnych, uciekających. Zagadkowa ta kompozycja taką objaśniała się legendą. Mieszkał niegdys w tej okolicy hrabia Walter, pan możny i bogaty. Słynęła wszędzie z piękności młoda jego żona, ale hardziej jeszcze podziwiano niezwykle jój cnoty i pobożność, a męża jój uznawano najszczęśliwszym z ludzi. Ale niedługo szczęście to trwało. Wkrótce przyjechał w te strony rycerz, którego nikt nie znał i który nikomu nazwiska ani pochodzenia swego nie chciał wyjawić, mówiąc, że „votum” mu tego wzbrania do pewnego czasu. Takie śluby były w średnich wiekach rzeczą częstą, nie dziwiono się więc temu, a przybysza przezwano czarnym rycerzem, gdyż innęj barwy nie nosił, i niemniej chętnie przyjmowano, domyślając się, że wysoko go musiał być rodu po dostatkach, któremi hojnie szafował. Zamieszkawszy w bliżkiem mieście, dom urządził z niewidzianym dotąd u tamtejszych magnatów przepychem i spraszać zaczął szlachtę okoliczną, a więc i męża pięknej Aldy. Dzień w dzień huczne bywały u niego zabawy, a na pierwszym zawsze miejscu gra szalona. I powoli Walter dał się uwikłać w zastawione na niego sieci, i wśród gwaru uczt rozrywek, które go odrywały od żony i domu, z każdym dniem gwałtowniej się w nim rozwijała namiętność do gry, podsycana ciągłym szczęściem. Nieraz całą noc spędziwszy u czarnego rycerza, o świcie dopiero, obładowany złotem, upojony powodzeniem, powracał do swojego zamku, obojętny na niepokój i cichy smutek tej, która go tam oczekiwała.

Pewnego wieczora jednak zaczął przegrywać. Czarny rycerz był jego przeciwnikiem i raz wraz zagarniał jego stawkę z obojętnym i szyderskim uśmiechem, który powiększał zaciekiłość Waltera. Goście się rozeszli; sam na sam pozostali jeszcze gracze, bo hrabia koniecznie chciał się odegrać i ufał, że szansa się zmieni. Gdy pieniądze już nie stało, postawił łańcuch swój złoty, broń, psy, konie, srebro i klejnoty, wreszcie ziemie i zamek swój dziedziczny. Osłepiony, roznamiętniony, umilkł dopiero wtedy, kiedy już mu nic do przegrania nie pozostało. Wówczas czarny rycerz, zawsze spokojny i uśmiechnięty, uprzejmie odezwał się do zrujnowanego gościa, że ofiaruje mu wszystkie dotąd rozegrane partye puścić w niepamięć, byle zgodził się zagrać jeszcze jedną, ostatnią, w której na stawkę postawi... życie hrabiny. Wygrywając, hrabia nic nie utracił z mienia swego, przegrywając, czarnemu rycerzowi pozwalał tylko zabić Aldę, do rodziny której pałał on nienawiścią. Straszna musiała być namiętność Waltera, straszną też wpływ szyderskiego spojrzania, które na nim ciężyło, kiedy na ten okrutny targ skinieniem głowy pozwolił. Los jeszcze raz go zawiódł, a gdy zechciał nędznie opierać się i wzbraniać, bełkocząc, że przecież to rzecz niemożliwa, zabijać żonę, chociażby tylko

dla rodziny... dla świata... kusiciel odpowiedział, że o honor jego dbały, tak się urządzi, by nikt o niczem nie wiedział, ani mógł się dowiedzieć. Hrabia miał nazajutrz rano namówić żonę na spacer konny i jednego tylko pazia wziąć z sobą. W lesie, tam gdzie od pięciu dębów pięć dróg się rozchodzi, przygotowaną będzie zasadzka, poczet zbrojnych ludzi napadnie na nich i zamorduje hrabinę, paż poświadczy, że obronę męża zwalczyła zbyt przeważna siła, a świat współczuciem otoczy nieszczęśliwego i daremnie poszukiwać z nim będzie sprawców gwałtu.

I odjechał Walter do zamku, którego za taką cenę pozostawiono go panem, rano wyruszył konno z żoną do lasu, za nimi podążył najmłodszy z ich paziów, mały chłopaczek. Droga prowadziła wzdłuż wiejskiego kościołka; Alda wstrzymała konia przed kruchtą, oznajmiając mężowi, że wejdzie się pomodlić. On nie mógł oprzeć się jój żądaniu, ale sam nie śmiał, pełny tak grzesznych myśli i zamiarów, wejść do domu Bożego i wymawiając się bólem głowy i prosząc żony, aby nie dała mu długo czekać, pozostał na dziedzińcu. Wkrótce też wyszła hrabina z kościoła, z niezwykle wyrazem powagi i zadumy na bladęj twarzy, mąż chciał jój dopomódz wsiaść na koń, ale nie mówiąc mu ani słowa, uniosła się tak szybko i lekko, że znalazła się na siodle, nim poczuł dotknięcie jój stopy. Jechali milcząc przez las. Gdy na zakręcie drogi ukazało się pięć ogromnych dębów, Alda spojrzała na chmurego męża, a w jój wzroku tyle było żalu i wyrzutu, że hrabia zadrżał cały, i już chciał ją wstrzymać... zawrócić... uciekać z nią razem... ale podczas tej krótkiej chwili wahania, wyskoczyła z po za drzew cała zgraja ludzi zbrojnych zamaskowanych. Kilku z nich rzuciło się na Waltera, kłepując jego ruchy, a czarny rycerz, równie zamaskowany, poskoczył ku Aldzie i chwycił za cugle jój konia. Ale zaledwie spojrział na nią, wydał straszliwy, nieludzki okrzyk przerażenia. Maskę spadła mu z twarzy, odkrywając szatańskie oblicze, wykrzywione bezsilną furją; runął o ziemię miotając rogatą głową, gryzł zębami, aż buchnęły w około niego płomienie, wśród których zapadł się w ziemię. Odrętwiały z przestachu Walter spostrzegł wówczas, że i żona jego dziwnęj uległa zmianie. Wznosiła się powoli w górę, jakby niewidzialną ciągniona siłą, a zarazem stawała coraz bledszą, coraz bardziej wiotką i powiewną. Przez chwilę widział ją jeszcze przezroczytą jak obłoczek, wreszcie całkiem rozplynęła się w powietrzu... Hrabia znalazł się sam jeden, napastnicy byli zniknęli, paż uciekł. Gdyby nie wierzchowiec Aldy, byłby mógł pomyśleć, że wszystko co się stało przed chwilą, snem tylko było złowrogim. Ale z poczuciem nieubłaganęj rzeczywistości obudził się wreszcie w Walterze głos sumienia. Wpływ nieczysty, pod którym dotąd pozostawał, a który go oslepiął, rozwił się tak nagle, jak była zniknęła anielska istota, którą Bóg odebrał niegodnemu mężowi. Miotany żalem i wstydem, boleścią i skruchą przejęty, zapragnął przedewszystkiem pomodlić się tam, gdzie ona niedawno modliła się, błagać o przebaczenie, najostrejszą zadając sobie pokutę. Pośpieszył więc napowrót do kościołka. Gdy wszedł tam ze schylnem czołem nieszczęsny winowajca, pusto było zupełnie po skończonem nabożeństwie. Przed ołtarzem klęczała tylko pogrążona w modliwie kobieta, z ubrania i postaci tak do Aldy podobna, że Walter zatrzęsł się cały, nie dowierzając swym oczom. Na odgłos jego kroków kobieta odwróciła głowę i hrabia ujrzał znowu tę śliczną twarz, której myślał, że już nie zobaczy na ziemi. Padł na kolana, nie wiedząc co się z nim dzieje, lecz widząc że żona pudniła się i odchodzi powstał i poszedł za nią, lękając się, aby znów się nie rozwił cień jój marny. Gdy stanęli na dziedzińcu, drżący chwycił ją za rękę. Ale dłoń ciepła i miękka serdecznym odpowiedziała mu uściskiem, a słodki głos zaczął go przepraszać, że tak długo dała mu na siebie czekać. Ale musiała dotrzymać obietnicy uczynionęj matce na łożu śmiertelnem. Ta, mając szczerólniejsze nabożeństwo do Anioła Stróża, pod jego opiekę oddawała dziecię, które pozostawiła sierotą, a żądała aby córka dała jój słowo, że ilekroć przejdzie przed kościołem, wejdzie pomodlić się do swego opiekuna,

a jeżeli mszę zostanie, wysłucha tej zawsze aż do końca. Tutaj zaś jedna msza kończyła się właśnie, kiedy druga zaczęła, a potem przy modlitwie zapomniano się o czasie i godzinie...

Teraz dopiero Walter zrozumiał, kim był ten, który przybierając na siebie postać Aldy, uratował był ją od sztański zasadzki, a jego od zbrodni i rozpacz. Skrucha jego była tak głęboką, że upokorzył się nie tylko w konfesyjone, ale w obec żony, wyznając jej jak ciężko i haniebnie przeciw niej zawinił. Legenda powiada że Alda przebaczyła mężowi, że oboje małżonkowie, fundując kaplicę na pamiętnem im miejscu, kazali wymalować obraz, mający przekazać potomności widoczny ten dowód opieki Anioła Stróża.

## WSPOMNIENIA MŁODEGO WĘDROWCA

### Z PODRÓŻY NAOKOŁO ŚWIATA.

(Dalszy ciąg).

Mieszkańcy ani myśleli o ratunku, bo i niepodobna byłoby powstrzymać takiego ognia. Wszyscy stali z założonymi rękami dokoła, patrzali tak samo, jak i my, wcale nie widać było na nich rozpacz. Niewielkie tam skarby musieli mieć w tych domkach, więc i żal po nich niewielki. Zresztą, jak mi wytłómaczył p. Antoni, Malajczycy są muzułmanami, wyznawcami fatalizmu; wierzą zatem, że co się stało, stać się musiało, a jeżeli ten pożar był im sądzony, to mu żadna siła ludzka przeszkodzić nie mogła. Bardzo nie-mądre przekonanie, bo z pewnością nie żaden wyrok przeznaczenia, tylko nieostrożność jakaś ogień roznieciła.

Dziś zwiedziliśmy znów przesliczną okolicę, po samym środku wyspy leżącą i zwaną Bikit-Timah. Francuz p. Chasseriau, ma tę piękną posiadłość, hoduje różne zwrotnikowe rośliny, głównie zaś drzewka kawowe. Przemysłny ten człowiek był dawniej właścicielem ogromnych winnic we Francji, ale zniszczyła je filoksera, owad pasorzytny, pożerający szczerp winny. Utraciwszy z powodu tej klęski cały majątek p. Chasseriau rzucił ojczyznę, nabył tu kawałek ziemi i zaczął zasadzać drzewa kawowe, sprowadzone z Liberyi, osady afrykańskiej, założonej przez murzynów ucywilizowanych, uwolnionych z niewoli amerykańskiej. Otóż ci murzyni zaprowadzili tam wyborny gatunek kawy, wysoko ceniony w handlach i rozpowszechniany obecnie w wielu osadach zwrotnikowych.

Bardzo ładnie wyglądają te drzewka, liście mają gładkie i lśniące, podobne do wawrzynowych, obecnie pokryte są kwiatami białymi, pachnącymi, później wydadzą owoce purpurowe, prawie takie, jak wiśnie. Mówią, że miększ ich słodkawy jest dosyć smaczny, lecz największe znaczenie ma pestka rozdwojona, ona to po spaleniu daje tę wyborną, aromatyczną kawę, na całym świecie znaną. Wystaw sobie, że wczoraj w tym kawowym sadzie Anglik, urzędnik tutejszy, zastrzelił tygrysa. Niezmiernie żałowałem, że nie był przy tem, chociaż widziałem tego tygrysa zabitego, bo go jeszcze ten Anglik nie zabrał, wolałbym obaczyć żywego. Co jest dziwniejsze, to że p. Chasseriau ubolewa nad zgonem tego drapieżnika, swojego tygrysyka, jak go nazywa, bo on wypłaskał dziki z lasów okolicznych, a te ogromne szkody wyrządzają w plantacjach, tak samo, jak świnie domowe.

Jutro puszczaemy się znowu w dalszą podróż. P. Antoni miał zrazu zamiar popłynąć na kilka dni do Bangkoku, miasta indyjskiego, ale dowiedział się, że tam wybuchła, cholera, a chociaż to w Indyach rzecz dość pospolita i podobno europejczyków mniej daleko umiera, niżeli krajowców, opiekun mój nie chce mnie na niebezpieczeństwo narażać. Ruszamy tedy na wyspę Borneo. Przybył tu właśnie parowiec angielski „Aryel”, który ciągle kursuje pomiędzy wyspą Singapore i Borneo, dwa razy na miesiąc podróż tę od-

bywa regularnie. Cieszę się niezmiernie, bo i mnie już zaczęła się przykrzyć na jednym miejscu. Tak to człowiek łatwo zasmakuje we włóczędze. Tymczasem inny okręt, płynący ku Europie, zabierze ten list, a w nim zasuszony kwiateczek kawowy, który mi uprzejmy właściciel plantacji ofiarował na pamiątkę. Pismo następne zapewne wyprawię z Borneo, a teraz bywaj mi zdrowa, siostrzyczko kochana.

### III.

29 Kwietnia o godz. 7-mej z rana „Aryel” podniósł kotwicę i wypłynęliśmy na pełne morze. Żegluga zład do Borneo trwa tylko dwa dni, pogoda pewna, gdyż w tej porze roku od kwietnia do października, podczas trwania „museonu”, to jest słabego wiatru północno-zachodniego, nigdy nie wydarzają się gwałtowniejsze burze.

„Aryel” jest znacznie mniejszy od „Jaskółki”, załogę ma niezbyt liczną, a i pasażerów zaledwo kilkudziesięciu się na nim mieści. Razem z nami w tej samej dużej kajucie zajmują miejsca trzej Anglicy, jeden z nich, przyrodnik, odrazu zaprzyjaźnił się z p. Antonim, który doskonale mówi po angielsku. Bardzo się cieszę, że znam trochę ten język i mogę przynajmniej rozumieć rozmowę tych panów.

Reszta pasażerów składa się z samych prawie Chińczyków, spostrzegłem też pomiędzy nimi postać tak dziwną, że o mało śmiechem nie parsknąłem. Człowiek ten ubrany w spodnie dziurawe i niezbyt czyste, po pas był zupełnie nagi, co jednak nie raziłoby zbyt, bo ciemna skóra Azyatów wygląda na okrycie; ale wystaw sobie, przy tem ubraniu, a raczej braku ubrania miał na głowie wysoki czarny kapelusz, tak zwany cylinder. Kapitan nam wyjaśnił, że to jest Dayak, tak nazywają krajowców wyspy Borneo, jeździł on do Singapore, a żeby zobaczyć miasto angielskie, a dostawszy zładcis ów kapelusz, sądził zapewne, że zachwyci Europejczyków tym wykwiutnym strojem.

30 Kwietnia mignęły nam przed oczyma skaliste, bezludne wysepki S-go. Piotra, tegoż dnia ujrzelśmy na krańcu widnokregu ład rozleglejszy, to wybrzeża ogromnej wyspy Borneo. Płynęliśmy wzdłuż ładu, w końcu statek zapuścił się w głąb ujścia rzeki Sarawak, która jest tak szeroka, że statki żeglują po niej wygodnie na znacznej przestrzeni, zwłaszcza w porze przypływu. Brzegi jej są niskie woda z obu stron wylewa, tworząc rozległe moczary pokryte najbujniejszą roślinnością. Ze zdziwieniem spostrzegłem liście ogromne, pierzaste, dobrze mi znane liście palmowe, pękami wychodzące wprost z ziemi, tak zupełnie, jakgdyby kto ściał wierzchołek palmy i wetknął go w grunt bagnisty. P. Antoni mi wytłómaczył, że to odrębny gatunek palmy karłowatej, zwany *nipa frutescens*. Pieniek jej niziutki całkowicie nie niknie pod osłoną liści, wydaje mnóstwo owoców, pożeranych chciwie przez zwierzęta i ptactwo wodne, ludzie ich nie jadają, liście tylko grube i mocne, do różnych użytków służą, nawet ściany bambusowych domków przeplatają niemi zazwyczaj.

Wybrzeża rzeki poczęły się stopniowo podnosić, znikły moczary z karłowatymi palmami, w oddali zarysowały się sine wierzchołki gór wysokich, wreszcie widnokrag się zacieśnił, a statek wpłynął w głąb gęszczów leśnych. Ach! siostrzyczko, co to był za widok! Zdawało mi się chwilami, że jakaś wróżka przeniosła mię do zaczarowanej krainy. Czytało się wprawdzie nieraz o wspaniałości lasów zwrotnikowych, lecz żaden opis nie może dać wyobrażenia o tem. Po obu stronach rzeki piętrzy się wysoki, jednolity mur zieleni. Pnie drzew potężnych znikają całkowicie pod osłoną bujnych liści, gałęzie oplecione są gęsto długimi, giętkimi łodygami lian przeróżnych, a wszystko to razem tworzy jakąś zbitą masę zieloności. Ale ta nazwa muru lub wału, której użyć potrzeba w braku lepszej, wcale tu nie jest stosowną; te gęstsze leśne nie sprawiają wrażenia martwego głązu, patrząc na nie, czuje się, że tam życie wre w całej pełni, tryska w rozkosznem jakimś wysileniu.

Statek płynął cicho po spokojnej fali, w powietrzu także

cisza, tylko szum wody i lekki szelest liści zlewają się w jakąś muzykę czarowną, która wprawia w rozkoszne odurzenie. Ja jednak, stojąc na pomoście obok p. Antoniego, patrzyłem i słuchałem bacznie; miałem wielką ochotę dojrzeć jakiego ptaka niezwykłego, toż pełno ich być musi w tych przepysznych lasach. Aż tu patrzę, zamiast jaskrawych piór zwrotnikowego ptaka, ogromna łapa kosmata wysuwa się z pośród liści, potem łeb równie kosmaty, potworny, nachyla się z gałęzi nadbrzeżnego drzewa, dwoje oczu okrągłych ciekawie a głupowato na mnie spogląda. W pierwszej chwili wzdrygnąłem się cały, cóż to za straszny? Zupełnie jak w bajce, w krainie czarów potworna istota, stojąca na straży u wejścia. A gdy się cofnął mimowoli z wystraszoną miną, p. Antoni rozśmiał się głośno:

— Cóż to, przelakłeś się, młodzieńcze? — zawołał — czy nie uczyłeś się zoologii, czy zapomniałeś, że wyspa Borneo jest ojczyzną jednej z największych małp starego świata?

— Ach, orangutan! — wykrzyknąłem — niechże pan nie bierze mnie za nieuka; wiem doskonale, że orangutan z jednym tylko afrykańskim gorylem współzawodniczyć może i że ma nazwę naukową *simia satyrus*.

Kosmaty potwór popatrzył na nas spokojnie, nie wyglądał, ani zdziwiony ani przestraszony, nieraz już zapewne widywał kominy parowców i ludzi, wkraczających w głąb leśnej jego siedziby. Napatrzywszy się dowoli, cofnął się bez zbytejnego pośpiechu i znikł w gąszczach zielonych, wśród przygłuszonego szelestu poruszonych gałęzi. Statek płynął dalej i wkrótce zatrzymał się w przystani miasta Kuszing, które jest zarazem stolicą państwa nawpół europejskiego, gdyż władca niem Anglik. Państwo to zowie się Sarawak, a władca, noszący miejscowy tytuł radży, ma nazwisko ojczyste Karol Johnson Brooke. Wyobraź sobie tu na wyspie Borneo, w kraju dzikich ludzi, jest porządny hotel, na sposób europejski urządzony.

W pierwszej chwili, dowiedziawszy się o tem, doznałem uczucia lekkiego rozczarowania. Sądziłem, że podróżując w takich oddalonych stronach świata, będę koczował pod odkrytym niebem, urządził własnoręcznie szałas z gałęzi, rozpalał ogniska dla odstraszenia drapieżnych zwierząt, jak to zwykle bywa w opisach przegód wędrowców. A tu, wylądowawszy na wyspę zwrotnikową, idziemy po prostu na noc do hotelu, tak zupełnie, jakgdybyśmy przyjechali do jakiejś europejskiej miłośnicy. Muszę też sobie co chwila przypominać, iż żeglugę naszą wśród tego rozkosznego lasu, i zwłaszcza owego orangutana, który nas powitał na swojej ziemi rodzinnej, aby uwierzyć, że jestem naprawdę na wyspie Borneo, na drugim końcu świata.

Lecz dość tej gadaniny, dobranoc, siostrzyczko, p. Antoni spać napędza; za parę dni pewnie daleko ciekawsze rzeczy będę miał do opowiadania.

9 Maja Borneo. Kuszing.

Droga Wandeczko!

Obudziłem się dnia pierwszego Maja, z rana, cały jakby zбитy po nadmiernym utrudzeniu, jakiego doznałem przy wylądowaniu, bo przecież rozumiesz siostrzyczko, że przy każdej sposobności staram się dopomóc i usłużyć panu Antoniemu, który ma z sobą innóstwo bardzo cennych paczek z materyałami, przyrządami i książkami. Ponieważ o tem mowa, zatem powiem ku twój uciesze siostrzyczko, że najpierwszą może korzyścią jaką odnoszę z obecnej podróży, jest wyparcie się pospolitego u nas mniemanie, że kobiety tylko zabierają z sobą w podróż nadmierną ilość

pakunków. bo wierz mi, że żadna kobieta nie może ich mieć więcej niż mężczyzna, uczony z powołania. Otóż wylądowawszy nareszcie wczoraj w Kuszing, upadłem na bardzo skromne posłanie w miejscowym hotelu i zasnąłem... Obudziwszy się rano zerwałem się i poskoczyłem co prędzej do p. Antoniego, bo trzeba ci wiedzieć, że jakoś, bez żadnej ni- by przyczyny, nie dobrze się miał wczoraj, i dla tego to właśnie, ja wszystkiego przy wylądowaniu dozorowałem i tak bardzo się zmęczyłem. Tego poranku było mu daleko lepiej jednakże, i powiedział mi że z niektórymi najzdrowszymi ludźmi tak bywa w czasie morskich podróży, iż nie podległszy wcale morskiej chorobie, muszą jednakże następnie odpokutować ją przykrym stanem obezwładnienia i znużenia. Otóż on ją, odpokutowywał, a ja nie, bo chorowałem ciężko w swoim czasie. Cierpiałem wprawdzie jeszcze trochę, ale od czegoż jest siła woli i rozum!

(d. c. n.)

### SZARADA.

(ułożył Promyczek ze Wspólnój).

Pierwsze przyimek, a drugie trzecie  
U leniwego ucznia znajdziecie,  
Lecz gdy go pierwszy drugi ogarnie  
Rzuci lenistwo, nie zginie marnie;  
Wszystko zaś jest to przedmiot nieduży  
Który nam z wielkim pożytkiem służy,  
Lecz chociaż bardzo jest pożyteczny  
Może czasami być niebezpieczny.

### ŁAMIGŁÓWKA ZGŁOSKOWA.

(ułożyli Sasanka i Gwoździk).

Z następujących zgłosek: ~~ach — bal — bli — cze — dem —  
dya — dzi — el — i — ja — ki — ki — ko — kro — lo — los — ma —  
lo — ni — ni — nin — o — sa — so — wiec~~ ułożyć wyrazy: 1. Krzew leśny. 2. Wykrzyknik. 3. Imię męskie. 4. Miasto w Turcyi. w 2-m przyp. 5. Nazwa twarzy. 6. Zabawa. 7. Dzikie zwierzę. 8. Futro. 9. Miasteczko nad Wisłą z zamkiem starożytnym. 10. Zwierzątko z rodzaju gryzoniów. 11. Imię męskie. Pierwsze litery od góry do dołu utworzą imię i nazwisko króla polskiego, ostatnie w tym samym kierunku nazwisko hetmana kozackiego.

### ROZWIĄZANIA DO N-ru 28-go.

Szarady:

I — spa — hau. (Spaa — chan).

### Łamigłówniki głoskowe:

Klasztor, rozdzielony na dwoje, utworzył szlak i tor,  
Fantazyja, fant i Azya, Kor ona, rok i ona, Karyatyda, yak i tyrada, Belina, bal i nie, Karabela, arka i Elba. W porządku następującym: Szlak — Tor — Elba — Fant — Azya — Nie — Bal — Arka — Tyrada — Ona — Rok — Yak — pierwsze litery utworzą: Stefan Batory.

**TREŚĆ:** Niezwykły sposób krajania jabłek (z drzew). — Najnowsza powieść Deotymy (c. d.). — Gołąbka, wiersz p. Sewerynę Duchnińską. — Kościół w Tomsku (z drzew). — List z wystawy paryskiej. — Bajeczki Mickiewicza. — Wspomnienia młodego wędrowca z podróży naokoło świata (c. d.). — Łamigłówniki i rozwiązania. **Dodatek:** Henryś i Helenka (z drzew). — Synek leśniczego, opisała Gospoia z nad Warty. — Chłopiec i muszka, wiersz p. Helenę Bojarską. — Krowa za dziesięć jajek. — Dzień swobody, powiastka p. Maryą Brühlową. — Łamigłówniki i rozwiązanie, Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Goście ciotki Klotyldy, p. Mrs. Molesworth, przeł. z angielskiego T. P.

## Henryś i Helenka.



iedziała! niedziela! — pośpiewywał wesoło Henryś kończąc się ubierać — niedziela i Maj, a przytem śliczna pogoda, jakże nie śpiewać i nie cieszyć się.

— Ciekawy jestem czy też Helenka już gotowa — mówił do siebie — panny tyle potrzebują czasu, zanim uczeszą włosy i przypną cały tuzin kokardek, ale Helenka bywa niekiedy do rzeczy panną, co to raz, dwa, trzy i ubrana jak

porządny student.

Henryś był już gotowy, prędko wypił śniadanie a za chwilę zbiegł do pokoju siostry.

Zastał Helenkę w bardzo złem usposobieniu, siedziała na stole, co wcale było nie ładnie, a miała zasępioną minkę, co jest jeszcze gorszem.

— Tra la la — zawołał we drzwiach — cóż to za jakieś nowe obyczaje? na stole, i nos na kwintę, winszuję, idę sam do lasu kiedy tak.

— Nie dokuczalbyś mi, gdybyś wiedział co się stało — wymówiła z żalem Helenka. — Panna Franciszka poprawiła moje ćwiczenie a dla wprawy kazała się go nauczyć na pamięć, zasnęłam, a nos mam na kwintę, bo przeczulałam że czekać nie zechcesz.

— Zawracanie głowy z temi pannami, że też to zaraz musi wymyślić sobie jakieś zmartwienie, któż ci powiedziało, że czekać nie będę. Dawaj ćwiczenie i recytuj prędko, zobaczymy czy dużo już umiesz.

I biorąc papier z rąk siostry stanął Henryś przed nią w postawie srogiego nauczyciela, siostrzyczka się rozśmiała, uściskała braciszka, powtórzyła wybornie zadaną lekcję, a w chwilę potem byli już oboje na drodze do lasu.

Las, widzieliście wy kiedy las w maju? Trawa miękka, zielona, pachnąca, wśród niej jak gwiazdki przyłaszczki, między listkami fiołki, a dalej na wilgotnej ziemi kaczęńce jak rosypane dukaty. Wszystko tu żyje, z pod listka wyszedł jelonek, mrówki uwijają się całą gromadą.

Ale wracajmy do Henrysia i Helenki; biegali długo aż pomęczyli się bardzo. Pracowita z natury dziewczynka narwała kwiatków, zebrała je w fartuszek, a gdy brat usiadł nareszcie nad ślicznym strumyczkiem, dziewczynka zaczęła wic wieniec z przyłaszczek i kaczęńcu, żeby go zawiesić potem na ołtarz Matki Boskiej.

Helenka śpiewała, śpiewały ptaki, las śpiewał, aż przy tej potrójnej pieśni usnął Henryś. I śniło mu się, że nagle otaczające go fiołki zamieniły się w leśne bo-

ginki, a on sam był jakiś dziwnie lekki i biegł za niemi nie dotykając gruntu. Tak dolecieli do cudownego kraju, gdzie wróżki siedziały w dyamentowych pałacach, a na wózeczkach z muszli, zaprzężonych w dwa jastrzębie, jeździli tacy jak on chłopcy, spuszczać się dowoli z gwiazdy na gwiazdę. Było tu wspaniale, bogato i dziwnie, na skinienie Henrysia otwierały się złote podwoje, na złotych stołach stały zastawione najsmaczniejsze potrawy. Boginki, te dawne fiołki leśne, podawały złote półmiski, Henryś jadł wyborne torty i cukierki i nawet nie dziwił się tym cudom.

— Zostaniesz tu z nami, nieprawdaż? — pytała łaskawie, lekka jak chmurka wróżka, która przypląnęła na niebieskim obłoczku.

— Zostaniesz, zostaniesz — zachichotały boginki — i nigdy już, nigdy nie wrócisz tam na tę brzydką ziemię, gdzie my byliśmy blademi fiołkami, które więziono wśród trawy.

— Nigdy nie wrócić — pomyślał Henryś — nigdy? prawda że tu pięknie, rozkosznie, zabawnie, że tu latają złote ptaszki a u nas szare wróble świegocą, że tu stąpam po obłokach a tam mam czarną chropowatą ziemię, ale ja kocham wróbelki, a na ziemi czarnej, grudziastej, stoi nasz domek, nie, za nic nie zostanę tu z wami — mówił Henryś, wyrwał rękę prowadzącej go bogince i otworzył oczy.

— Ha, ha, ha — zaśmiała się Helenka — taka waza wdzięczność szkaradni bracia. Opędzałam cię od muszek, żebyś spał spokojnie, a ty nawet przez sen nabiłeś mi guza, machnąwszy pięścią z całych sił, patrz szkaradniku.

I dziewczynka pokazała bratu zaczerwioną buzię, ale on nie przeproszał wcale, tylko jeszcze pod wrażeniem snu powtarzał sobie — za nic za nic nie oddam szarego wróbelka i szarej ziemi.

Czas było wracać do domu, bo dzwon kościelny dał się słyszeć wzywając na nabożeństwo. Helenka zabrała wieniec z przyłaszczek, kaczęńcu i fiołków, a Henryś spojrzawszy na te ostatnie przypomniał sobie znów kuszące boginki i jeszcze raz powtórzył. — Za nic, za nic nie oddam.

## SYNEK LEŚNICZEGO

Z prawdziwego zdarzenia

opisała Gosposia z nad Warty.

W roku 1846, po zamieszkach w prowincyi poznańskiej, powstały bandy rabusiów, które w kilku miejscach tej krainy, potwornym mordem zapisały się w pamięci tamtejszej ludności. W lasach rządowych, o kilka mil od Poznania się rozciągających, żył leśniczy wśród obrębu oddanego pod wyłączny jego nadzór. Wdowiec, wychowywał z miłością i trskliwością jedynaka, dwunastoletniego chłopczyka, żyjąc samotnie z jedną tylko służącą i parobkiem.



Samotność ta mało im się dawała uczuć, bo właśnie wiosna wracała życie dąbrowie, sasanki, puszyste przylaszczki, złote i białe zawilce ustroiły lasy.

Ranek był chłodny, leśniczy wysłał kobietę po sprawunki do miasteczka, sam z parobkiem poszedł do oddalanej poręby dla wydania zakupionego drzewa; na straży domu został tylko mały jego chłopczyk, przyzwyczajony radzić sobie sam pod nieobecność starszych. I teraz więc roztropny dzieciak, strugał wesoło kawałek kija, z którego miał zrobić biczysko, gdy do pokoju wszedł śmiało człowiek przebrany za druciarza a wyjąwszy z torby długi nóż zawołał na chłopca:

— Wskaż gdzie ojciec ma pieniądze, albo cię zabiję!

Poznał chłopczyk, że ma przed sobą zozbójnika, nie traci przecież przytomności, szczęśliwa myśl, plan ocalenia mu nasuwa.

— Tu, w tej piwnicy—mówi—są pieniądze—i wskazuje na drzwi w środku pokoju się znajdujące, a mocnymi zawiasami okute,

Zbójca szybko spuścił się do podziemia, lecz szybciej jeszcze przytomny chłopiec zamknął takowe na kłódkę i uwięził w piwnicy zbrodniarza.

Teraz dopiero odetchnął, nie czekając dłużej pobiegł do ojca i opowiedział mu całe zdarzenie. Leśniczy z przerażeniem usłyszał o niebezpieczeństwie jakie groziło ukochanemu jego dziecku. Uściskał dzielnego chłopca, dał znać do miasta, wydobyto więźnia z piwnicy a za jego wskazówką schwycono całą bandę zaczajoną w lesie. Mały synek leśniczego stał się ulubieńcem okolicy. Wszyscy podziwiali jego odwagę i przytomność umysłu, a znany z ofiarności hrabia Dz. wyznaczył fundusz na kształcenie roztropnego chłopca.

## CHŁOPIEC I MUSZKA.

Skrzydło po skrzydle, nóżkę po nóżce,  
Niedobry chłopiec obrywał muszce,  
Widząc to matka rzekła: Mój synu,  
Złego się bardzo dopuszczasz czynu,  
Czyż ty masz serce, czy masz sumienie,  
Męczyć tak srodze biedne stworzenie?

A syn odrzeczł: — O! ono przecie  
Bezpożytecznie żyje na świecie  
A człowiek nieraz zabiera życie  
Takim co niosą korzyść...

— O! dziecię!

Człowiek zabija zwierzęta, ptaszki,  
Lecz ich nie męczy tak dla igraszki;  
Dla swój obrony lub pożywienia,  
Pozwala na to mu głos sumienia;  
Lecz kto umyślnie na dziką psotę  
Trapi i męczy jaką istotę,  
Patrząc na ból jój, jak głąz bez serca,  
Czy wiesz kto on jest?... on jest morderca!  
Szlachetny użyć nie pragnie siły  
Względem słabszego, wierz mi, mój miły.

Helena Bojarska.

## KROWA ZA DZIESIĘĆ JAJEK.

— A to proszę wielmożnego pana, przyszedłem prosić czyby wielmożny pan nie kupił chociaż skóry z bydłęcia. Zmizerowała mi się wczoraj ostatnia krowina — mówił komornik Mucha, ocierając łzy rękawem.

Mucha był stary, zgarbiony, ręce miał czarne, spracowane, a na rękawie którym oczy ocierał, tyle lat przeszło, że trudno było poznać kolor sukmany.

— Dobrze mój Wojciechu — odpowiedział z współczuciem pan — kupię skórę, odnieś ją do magazynu, ale jakże ty bez mleka przeżywiesz dzieci i wnuki?

— A cóż robić, wielmożny panie — nastanie Boże — a w chałupie jest nas sześcioro, najgorzej o te małe robaki. Ja z kobietą i starsze dzieci zjemy z solą, ale to chudactwo zmarnieje. I nie kryjąc już teraz łez, wyszedł biedny Wojciech z pokoju.

Tego samego dnia przy obiedzie opowiedział pan K. dzieciom o nieszczęściu starego Wojciecha.

— Słuchajcie chłopcy — dodał, zwracając się do trzech synów, którzy na wakacje przyjechali do domu — musimy poratować Wojciecha. Dam od siebie dziesięć rubli, więcej dać nie mogę, a to na kupienie krowy nie wystarczy.

Mundurki zaszeptały pomiędzy sobą.

— Tatusiu, czy za dziesięć jaj od mojej kokoszki kupi tatuś krowę, to ja je dam — odezwała się mała Julcia, pieszczotka wszystkich.

Mundurki uściskały siostrzyczkę za dobry pomysł.

Najstarszy z nich wstał teraz i czerwieniąc się ze wzruszenia, powiedział:

— Ojciec wie, że mamy swój własny fundusz z kopretycyi, jeżeli ojciec pozwoli to damy z niego po pięć rubli i będzie krowa.

Ojciec skinął głową na znak przyzwolenia, teraz w jego oczach zamigotało coś jak łza wdzięczności za dobre dzieci, pokrył ją uśmiech, bo Julcia krzyczała z całych sił. — Będzie krowa, będzie krowa, za moje dziesięć jajek kupi tatuś śliczną białą dla Wojciecha.

Krowę, jak raz, sprzedawał właśnie miejscowy pachciarz. Pan K. obejrzał ją i kupił a dzieci odprowadziły graniatą do chaty komornika.

Julcia poszła także, ale uczciwa dziewczynka odniosła wprzód jajka do pokoju taty. W drodze do chaty Maciejowa stara piastunka szła z dziewczynką, bo bała się puścić ją samą z chłopcami. Stary Wojciech Mucha błogosiławił dobroczynne dzieci, a kiedy pocałował Julcię w rączkę, zawstydzona dziewczynka schowała się w fartuch Maciejowej, mówiąc:

— Jak kurka znowu zniesie dziesięć jajek, to Julcia kupi drugą krowę Wojciechowi.

## DZIEŃ SWOBODY,

POWIĄSTKA PRZYPISANA MÓJ WNUCZCE,

Geni Chodźkównie.

(Dokończenie).

— Nie chcę... nie chcę więcej nigdy palić papierosa — wołał kaszląc Alfredek — proszę wody... wody... fe jakie to paskudne... jakie niesmaczne...

I wypił pełną szklanekę wody dla uspokojenia.

Wstano od stołu, udano się do ogrodu na zwykłą poobiednią przechadzkę. Ogrodnik podał koszyczek, ślicznych świeżo zebranych czereśni. Dzieci zjadły ich cokolwiek, ale zmęczone ranną wyprawą, biegać nie miały chęci.

— Chodźmy do stołowego pokoju odpocząć na kozetce, bardzo mi gorąco — rzekła Bronisia.

— Która godzina — zapytał, siadając Alfredek.

— Wpół do czwartéj, zdaje mi się — odpowiedziała Bronisia.

— Niezmiernie długi dzień — zauważył Alfredek, opierając głowę o poręcz kozetki.

— Bo też w Czerwcu dni najdłuższe — pochylając główkę, rzekła Bronia.

I wkrótce oboje smacznie zasnęli. Panna Aurelia przechodząc koło nich pokiwała głową, państwo Kalińscy dali jęj znak aby dzieci nie budzić.

Tak przespali do godziny ósméj, przygotowywano już herbatę, i brzęk szklanek i łyżeczek, zbudził Alfredka i Bronisję.

— Która godzina—zapytał przeciągając się Alfredek — patrzaj, wnoszą samowar, zupełnie się już ściemniło.

— Pięknieśmy przespali dzień swobody — rzekła Bronisia. — Doprawdy iż mi wstyd rodziców i panny Aurelii.

— A mnie myślisz, nie wstyd — zawołał Alfredek — jakże oni rozumnie czasem naszym rozporządzają, jak wiedzą co nam potrzebne, prawdę ci powiem Bronisiu, herbata i mleko, lepsze jak czekolada z piernikami, przechadzki w południe, wino przy obiedzie, to tylko usypiają, dzień próżniactwa nudzi, a przy zatrudnieniu i lekcyach dzień tak prędko schodzi.

— I pewnie ci się już papierosa więcéj nie zechce—powiedziła z przekąsem Bronisia.

— O tem mogę cię zapewnić. Ach! jaki ja głupi musiałem się ojczulkowi wydać, gdy o niego poprosiłem.

— Bardzo, bardzo — rzekła Bronisia. — Sądzę, że wszystkim tak się zdawało.

— Cieszę się tylko, że nie zjadł obiadu przez ciebie zadysponowanego, pewniebym się po nim rozchorował — odwdzięczając się odpowiedział Alfredek.

W téj chwili weszli rodzice z panną Aurelią, i Bronisia z Alfredkiem ku nim pobiegli. Ojczulku, mamusiu, przebaczcie nam — zawołali tuląc się do nich — zmarłowaliśmy i przespali pół dnia, nie ucząc się, nie grając, popełniając same niedorzeczności. Wy lepiej nami rządzić potraficie, nie chcemy już nigdy dnia swobody, panna Aurelia też nam przebaczy, będziemy się starali wynagrodzić nasze dzisiejsze postępowanie.

— Cieszę się, kochane dzieci — rzekł pan Kaliński — iż pojęliście że rady nasze, mają tylko wasze zdrowie i szczęście na celu, a brak doświadczenia, nieprzewidziane niebezpieczeństwa, potrzebują ciągłego dozoru i przestrogi. Dzień bez zajęcia jest nudnym i długim, a zabawa po nauce tylko przyjemna. Nie zastanawiając się nad żadną czynnością zniszczyliście piękne suknie, które na długoby jeszcze wam wystarczyć mogły, Alfre-

dek upierając się jechać na gniadoszu, który jest jeszcze bardzo dziki, omal nie zleciał z niego, ale ponieważ sami uznajecie, że dzieci sobą rządzić nie mogą, chętnie wam przebaczymy, bo smutne doświadczenie dzisiejsze, od wielu błędów was ustrzeże.

— Przyrzekamy z całego serca — zawołały dzieci iż przestrogi wasze, zawsze z pokorą przyjmować będziemy.

I dotrzymali słowa.

Marya Brühlowa.

### ZADANIE KONIKOWE.

(ułożyła Jedynaczka).

nie	Bez	ko
ła	*	cy
pra	ma	czy

### SZARADA.

(od Don Carlosa dla Jesieni).

Pierwsze nuta muzyczna,  
A zaimek drugie;  
Wszystko bywa zazwyczaj  
Kiedy dni są długie.

### ROZWIĄZANIE DO N-ru 29-go.

Łamigłówki kryształowej:

L  
ł U k  
p u D e l  
L u d W i k a  
C h I n y  
o K o  
A

### Skrzynka do listów.

Kameleonie kochany, jakkolwiek twierdzisz, że stało „u góry wyraźnie: Od Kameleona...” mogliśmy jednak przeoczyć. Wybacz nam łaskawie tę ciężką winę, a przyjdzie ci to tem łatwiej, że z kameleonowej swojej natury zmiennym będąc, łatwo przerzucić się możesz z oburzenia w łaskawość. Co zaś do twojej opowieści, dbały o autorską sławę J... M... (czy mamy wymienić nazwisko obraźliwego chłopczyka?) to nie obowiązujemy się nigdy drukować bez zmiany i poprawek utworu młodych naszych korespondentów „Szanowna pani”, (która naprawdę więcéj niż kiedykolwiek dobrą być musi, aby się nie obrazić za ton liściku) nie zajrzy ci twoich wawrzynów, o czem nawet zapewniać nie potrzebuje.

Litwinka znajdzie odpowiedź w 28-mym numerze Wieczorów.

Wysłka Pisma została wstrzymana z przyczyny, że obok pseudonimu nie było prawdziwego adresu.

**Lewkonii** kochanej wszyscy w liściku jęj wymieniemi dziękują za serdeczne słowa. Autorce „Księżniczki” miłą będzie wiadomość, że przeczytanie jęj pracy, podało temat do zbawiennych rozmyślań.

Na stanowczą odpowiedź co do losu, jaki spotka list o W. poczekać musisz droga **Amazonko Podlaska**, bo w tęj chwili nawał zajęcia nie pozwala nam wziąć się do czytania go. Niczego nie pragniemy więcej jak tego aby życzliwość i zaufanie korespondentek naszych pozyskać. Jakżeż tu nawet w obec takiej obietnicy gniewać się za wykroczenie przeciw regule?

Ależ ty wcale nie mało umiesz, **Rajskie Jabłuszko**, skoro umiesz już szyć i w rękę i na maszynie. Szyj jak chcesz, dziecinko, każdy dar dla biednych dzieci z wdzięcznością będzie przyjęty.

Taź sama odpowiedź i do ciebie się stosuje, kochana **Rusałko**. Zdaje się że niema drugiej **Rusałki**. Jak możecie pytać Goł. pocz. o pozwolenie napisania do nięj? jęj to największą radość sprawia.

**Blondynko z Cieszyna**, czy znasz przysłowie o krawcu, który „tak kraje, jak mu materyi staje”? zastosuj je do pytania o zagadkach. Są przytem różne inne względy, z którymi liczy się musimy, a o których korespondentki nasze wyobrażenia nie mają. Adres podług żądania zmienimy. Przyjemnego spędzenia wakacyj po długięj chorobie życzymy kochanej **Bl. z C.**, która chyba nie grała jeszcze wszystkich sztuczek drukowanych w *Wieczorach*.

**Akacyo różowa** (ale zawsze przez *o* a nigdy przez *u*, broń Boże!) ślicznie zrobiłaś usłuchawszy mamy i pisząc do nas. *Katechizm* polecamy ks. Rzewuskiego, cena z przesyłką kop. 45

**Niezapominajko z nad Warty**: ileż pytań! Przesyłka „z całego serca” przesłana już przez to samo jest ceną. Brzegi **Warty** miłe nam są z powodu wspomnień spędzonych tam chwil.

**Zorzy** polecamy mineralogią **D-ra Pokornego** ilustrowaną, w cenie kop, 95 z przesyłką.

Kochany **Neptun** może nas nazywać jak mu się podoba, pragniemy tylko, aby nas uważał za serdecznie życzliwych dla siebie n. p. jak kogoś ze swoich krewnych, bo zaznajamiając się przez korespondencję z naszymi czytelnikami, nie uważamy ich za obcych dla siebie.

Droga moja **Gałązko heljotropu!** Dziękuję ci serdecznie za odpowiedź. Poczciwe i kochane musi być z ciebie stworzonko, skoro aż dwa liściki do mnie napisałaś. Cieszę się, że wkrótce zamieszkać w **Kaliszu**. Zapewne jesteś ciekawa jak wyglądam: jestem ciemną blondynką z niebieskimi oczyma, na swój wiek dosyć wysoką i noszę włosy krótko obcięte. Opisz mi i ty twoję osobkę, a im dokładniej tem łatwiej cię poznam. Ściska cię i czeka odpowiedzi kochająca cię *Minoza*.

Kochana **Różyczko biała** i **Rączy Jeleniu!** Dziękuję wam za szarady, odgadłam je zaraz; ja także posyłam jedną dla was, ale nie wiem czy szanowna redakcyja uzna ją za dobrą. Donieś mi, drogi **Jeleniu** co o swojej osobce, gdyż z *Wieczorów* wcale cię nie znam, *Niezapominajka z nad Warty*.

Droga **Makolągwo**. Dziękujemy ci bardzo za liścik, dobrze zrobiłaś zmieniając pseudonym, bo dawny był niestosowny, może i my zmienimy, pomówimy o tem, gdy się zobaczymy tutaj. Ciesz się powrót do zdrowia **Cygara**. *Choraqiewka i Zorza*.

Droga **Bombo!** Liścik twój zdziwił mnie niemało, gdyż nie spodziewałam się, żeby moje „Listy z podróży” podobały się tak wojowniczej osobce, (sądząc z pseudonimu musisz nią być). Z chęcią będę z tobą korespondowała. Mnie na imię **Zosia**, lat mam 14-cie jestem wysoka i niezbyt szczupła. Lubię bardzo wszystkie zwierzęta, ale najbardziej psy i konie. Uczę się w domu przy nauczycielce, mam dwóch starszych braci uczących się w gimnazjum w **Rydze**, jednego młodszego i małą siostrzyczkę. Może się kiedyś poznamy *Amazonka Podlaska*.

Kochany **Herkulesie!** Choć jesteś tylko pół a ja całym bożkiem, bratem **Jowisza**, wielka mię bierze ochota poznać się

z tobą. Nazywam się **Eugeniusz P.** mam lat 13 lubię bardzo łowić ryby i polować, jestem w 3-ęj klasie w gimnazjum, twój *Neptun*.

Kochana **Rusałko!** Domyślał się kim jesteś, mieszkasz nad **Zbruczem** niedaleko od nas. Napisz czy zgadłam? Ścisgam ciebie i Twoją siostrzyczkę. *Gwiazdka z Podola*.

Moja miła **Konwaljiko leśna!** Lubię bardzo kwiatek, któryś sobie za pseudonym obrała, więc i ciebie; chciałabym wiedzieć jak ci na imię, gdzie mieszkasz, czy masz rodzeństwo i ile masz lat? Mnie na imię **Marya**, mam lat 14, dwoje młodszego rodzeństwa i mieszkam w **Cieszynie**. *Blondynka z Cieszyna*.

Droga **Różyczko biała z Wołynia!** Mylisz się co do mojęj osobistości, prawda że chodzę na pensję, mieszkam w **Krakowie**, ale moje moje nazwisko zaczyna się od **E.**, a nie od **S.** i bardzo brzydtko gram na fortepianie. Na imię mi **Marya**, mam lat 12, teraz skończyłam **VI** klasę. Napisz mi także wszystkie szczegóły o sobie, oraz co ci się w *Wieczorach* najlepiej podoba i którą naukę najwięcej lubisz. Według mnie najpiękniejszą powiastką były „*Dzieci Klanu*”, co do nauk to lubię bardzo literaturę, historię i geografję. *Gama C-dur*.

Droga **Rosiczko z nad rowu!** Znam cię doskonale, chociaż teraz widujemy się rzadko. Jestem o rok starszą od ciebie, mam brata i małą siostrzyczkę; zgadnij kim jestem? Ścisga cię wraz z rodzeństwem *Poranek majowy*.

Drogi moje: **Roso majowa** i **Wiewióreczko Inflantska!** Bardzo mię ucieszyłaś swoim listem, droga **Roso** i serdecznie ci zań dziękuje. Czy jeździsz konno? ja dopiero od tygodnia używam tęj przyjemności bo teraz mieszkamy na wsi i bardzo w nięj zamakowałam i wyglądam na prawdziwego **hajduczka**. A ty **Wiewióreczko** napisz mi czy nie jesteś **Lucią Mie.** i czy nie masz brata **Ludomira?** Wasz *Hajduczek*.

**Konwaljiko różowa!** Nigdy nie miałyśmy nadziei korespondować z tak pięknymi kwiateczkami. Nie możemy też oprzeć się się pokusie, aby w myśli chociaż porzucić **Paryż** i przenieść się przez góry i lasy do ukochanych ojczystych zakątków, aby sprzeć choć raz na nasze **Polanki**, **Dębinki**, **Świtezianki**, **Kropelki rosy** i przesłać najserdeczniejsze pozdrowienie od *Maryli z Krakowa* i *Jaskółki z nad Sekwany*.

Kochane **Ziarnko Przeniczne!** Przyszło mi na myśl, że kiedy jeździcie czasem do waszego stryja do **Antokola**, tobyście mogli ojca uprosić, żeby was także do nas przywiózł. Trzy mile drogi, to przecież nic strasznego. Zgadnij kto jestem, byłam u was 22 czerwca z matką, siostrą i bratem. *Znajoma Nawalnica*.

Kochana **Złota Tęczo!** Zdaje mi się, że odgadłam twoję imię, które zaczyna się od litery **Z.** uczysz się w domu, masz siostrzyczkę, i braciszka, czy tak? Ja mam lat 10 na imię mi **Helka** uczę się przy nauczycielce, ze wszystkich przedmiotów najlepiej lubię historję polską i muzykę, może kiedy się spotkamy. *Akacya różowa*.

Kochana **Basiu w Popow.!** Niedawno dowiedziałam się że czytujesz *Wieczory R.* a ponieważ nie możemy widywać się, chciałabym korespondować z tobą. Jaka ci się powieść w **W. R.** najwięcej podobała, bo mnie **Branka litewska** i **Dzieci Klanu**. Zgadnij kim jestem i odpisz mi prędko. **Różyczkę białą z Wołynia** pozdrawia *Niezapominajka z Polesiu*.

#### NA KOLONIE LETNIE D-ra. FRITSCHÉ ZŁOŻYLI:

Biruta rs. 1. — Swawolnik rs. 3. — Edzio i Józio G. kop. 35. — Staś kop. 50. — Z redakcyi *Kroniki* rodz. kop. 50. — Wilk ze stepów *Chersońskich* rs. 7. — *Błyskawica* rs. 1. — *Fiołek podolski* z siostrzyczką rs. 5. — *Zamoroka z rodzeństwem* rs. 2. *Henryk A.* kop. 50. — *Kureczka z nad Ikwy*. rs. 3. — *Halka z Litwy*